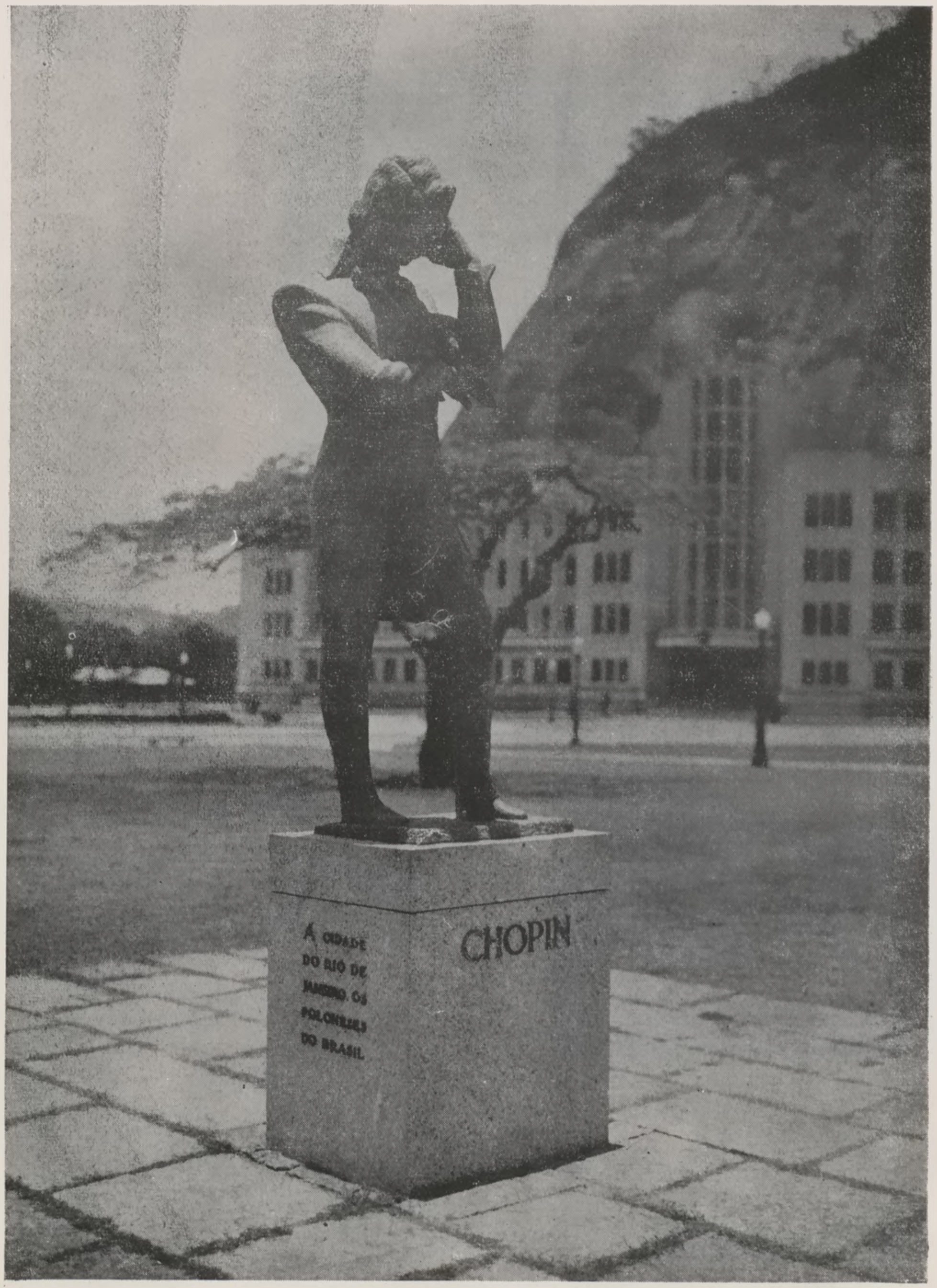
TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

Vol. 3. Nr. 5. (110) Nowy Jork, 4 lutego — New York, 21, N. Y., February 4th, 1945. Cena 20 ct.



CHOPIN — AUGUSTA ZAMOYSKIEGO
(pomnik odsłonięty w Rio de Janeiro)

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

POMNIK

Poeto, coś na miarę Fidjasza lub krawca
Odmierzać chciał nam piersi — spójrz jak się zuchwali
Wspaniały w dżungli polskiej ideał szubrawca
I jaki w naszych czasach urodzaj kanalji.

Żadne dłuto lepszego nie znajdzie modela
Na pomnik nędzy ludzkiej, nż tu, na tym rynku,
Gdzie co chwila ktoś kraj nasz w połowie rozdziela
I do historji wzdycha po takim uczynku.

Żaden rzeźbiarz się nie czuł w marmurze swobodniej,
Żadna wizja się jaśniej ze snów nie wynurza,
Niż tu, gdzie nie odróżnisz głupoty od zbrodni,
Złych proroków od zdrajców, najmity od tchórza.

Nie, nie krawców nam trzeba dla wielkiej tej sceny,
Dla grozy i ohydy i pychy podłości,
Na tej stypie pochroniów i skrzętnej hieny
Przy mogiłach, gdzie jeszcze nie obeschły kości.

Ty ich zaklnij, Fidjaszu, te widma z agory,
Daj im twarz, której niechaj nikt z nas nie zapomni,
Byśmy się ich wyzbyli, jak hańby i zmory,
I by palcem wytykać ich mogli potomni.

JAN LECHOŃ

MINISTER NEUMAN

Kiedy w środę w południe żegnałem się z Władysławem Neumanem, po długiej z nim rozmowie, o wszystkiem co jest w naszym losie tragiczne i w naszych nieszczęściach małe i podłe, pomyślałem, że niestety niewielu mamy na emigracji Polaków, którzyby łączyli tak nieustępliwy idealizm z takim poczuciem rzeczywistości, formy przyjazne i głęboką ludzkość z taką odwagą przekonań i potrzebą mówienia prawdy. I zdałem sobie sprawę, że ów Neuman, przysłowiowy cygan, najprzystępniejszy nie z dyplomatów, ale z ludzi, nie znający większej przyjemności niż staromodne kawiarniane rozmowy, nie mający w sobie nic z urzędniczego drylu i dyplomatycznego szamerunku, i dlatego nieraz traktowany z komiczną wyższością przez różnych naszych niczego nie rozumiejących poza raportami i obiadami mogołów, że ów Neuman, który zachował przez całe życie wzruszający styl młodości, styl studenta-niepodległościowca i rewolucjonisty, jest to jeden z bardzo nielicznych dziś działaczy, którzy mogą na naszej polityce zaważyć, umacniając w niej styl godny wielkiego narodu.

Pewny, że Neuman nigdy nie zwątpi o Polsce, nie zdziwiłem się, iż widząc jasno jak ciężka jest nasza sytuacja, rozumiał przecież, że nie możemy zginąć; wiedząc, że ma on różne ważne międzynarodowe "chody", i to bynamniej nie kuchennymi schodami, byłem przygotowany na to, że dostrzeże on realne możliwości poparcia nas tam, gdzie nasi różni naiwni realiści uważali wszystko za stracone.

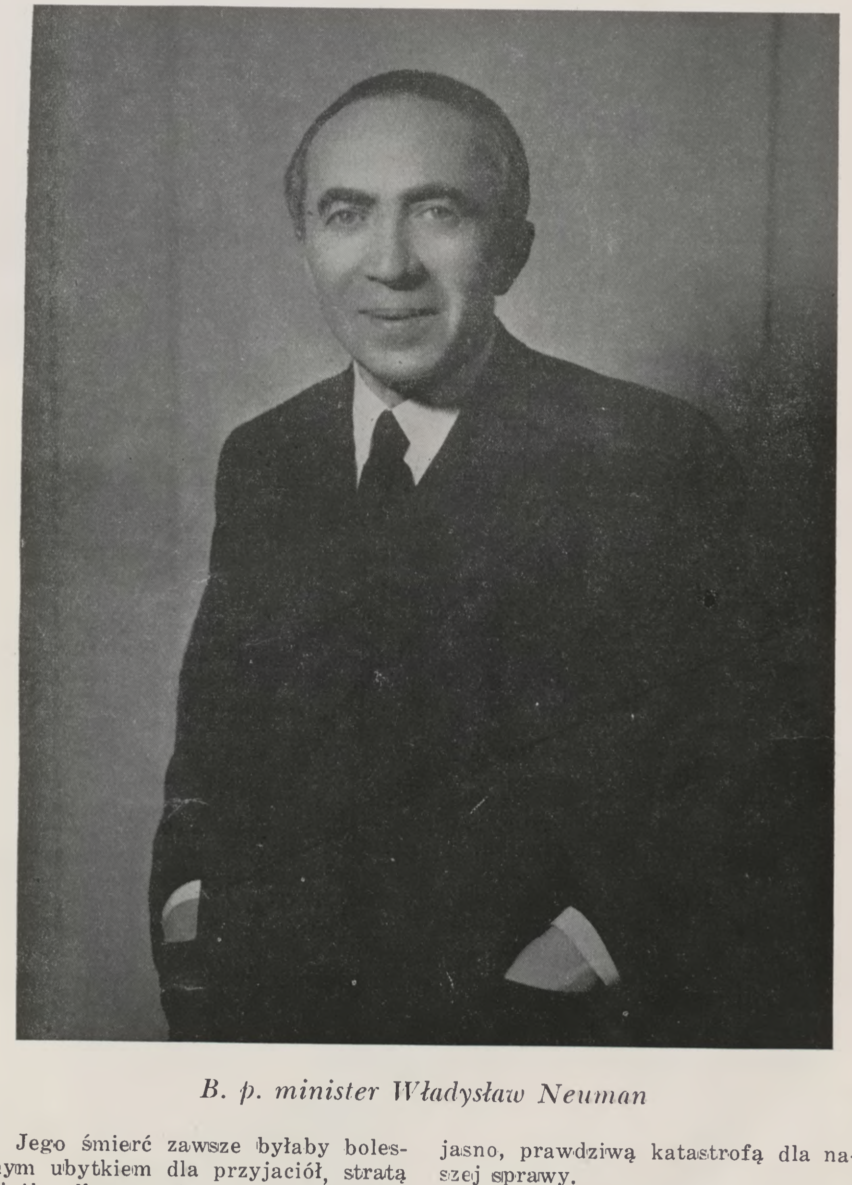
I nie było to dla mnie niespodzianką, że ten najłagodniejszy z ludzi znajdywał akcenty nieubłagane, mówiąc o tych co w najcięższej dla Polski chwili zdradzili ją — i o tych zwłaszcza, którzy przyczaili się, aby ją zdradzić, kiedy ta zdrada niczem już grozić nie będzie.

"Teraz jest wojna" — mówił twardo i "dlatego nie może być żadnego pobłażania. Musicie z tymi ludźmi walczyć bezlitośnie, bo oni ani na chwilę, jawnie czy pocichu, nie ustają w swej zdradzieckiej robocie".

Wracając więc z rozmowy z Neumanem, budzącej tyle otuchy, tak odmiennej od tych tchórzliwych wykrętów, które tak często słyszało się ostatnio ze zdumieniem od ludzi, zdawałoby się pewnych i w sprawach honoru niewzruszonych, poddałem się pzypływowi mocniejszej nadziei, że nasze sprawy pójdą teraz po właściwej drodze, skoro tacy ludzie, jak Neuman, będą mieli wreszcie coś do mówienia.

Było to w środę w południe. Tego samego wieczoru Neuman idąc na przyjacielską rozmowę, wśród rozszalałej nagle polarnej wichury, upadł na ziemię i umarł bez słowa.

tak w kraju zdławionym, dziś, gdy być politykiem polskim znaczy być zarazem statystą, wizjonerem, żołnierzem i kiedy dla podjęcia tych zadań ma się tylko tych, których przypadek uratował z potopu Polski i na przyjazne brzegi wyrzucił — dziś właśnie odejście Neumana jest, widzimy to



B. p. minister Władysław Neuman

Jego śmierć zawsze byłaby bolesnym ubytkiem dla przyjaciół, stratą ciężką dla naszej dyplomacji, dzisiaj przecież gdy musimy podjąć zdania, jakie nie stawały dotąd przed żadną polską emigracją, gdy wśród tryumfującego najazdu i zbrodniczej gnuśności mamy chronić nietknięty ideał państwa polskiego, nieuszczuplone nasze prawa, gdy musimy tu na emigracji zdala od kraju przedstawiać jego najskrytsze czucia, być jego głosem, jasno, prawdziwą katastrofą dla naszej sprawy.

Neuman zaczynał swoje życie polityczne w niepodległościowej robocie P. P. S. i był pepesowcem do śmierci, nietylko z partyjnej przynależności, ale z całej formacji psychicznej, którą ukształtowały nauki Worcella i przykład Piłsudskiego, wskazując mu na silne, niepodległe państwo polskie, jako na jedyne ramy, w których może się rozwijać demokracja

polska, jako na jedyny ośrodek, który skupić może i poprzeć dążenia wolnościowe narodowe i społeczne ludów wschodniej Europy. Wszedłszy do dyplomacji Neuman nie zamierzał stać się urzędnikiem i robić karjery, chciał w dalszym ciągu służyć ideałom swojej młodości, wzmagać siły państwa polskiego, wierząc, że w ten sposób pomaga szerzeniu się wolności w Polsce, że pomaga małym narodom zagrożonym w swej wolności i zdanym na niechybną niewolę, gdyby Polska straciła ważki głos w Europie.

Dlatego też rola Neumana w naszej dyplomacji była niewspółmiernie większa, niż waga zajmowanych przez niego stanowisk. Czy był posłem w Tallinie, czy radcą — szefem propagandy w Paryżu, czy ministrem w Norwegji czy ostatnio w Meksyku — słuchany był zawsze nietylko w sprawach swego terenu czy działu pracy, ale przedewszystkiem jako polityk, ogarniający całokształt stosunków Polski ze światem, polityk, który nigdy nie stracił z oczu wielkiego celu: owej Polski silnej, zabezpieczającej wolność ludom — i dla którego dyplomacja była tylko środkiem do wypełniania tych wielkich zadań.

Przeżyć musiał Neuman, jak wszyscy ludzie jego tradycji i jego sposobu czucia, niejedno rozczarowanie, niejedną chwilę tragicznego rozdarcia, której nie uniknie nikt, kto nie poprzestaje na marzeniu, ale pragnie je wcielać w kształt realny, budować z ziemskiej gliny nieraz nietylko opornej, ale i plugawej. Patrzał nieraz ze ściśniętem sercem na odległość jaka dzieliła wymarzoną Polskę od Polski zwykłych, nieraz małych ludzi i mierzył w bolesnej zadumie tragiczne a nieuchronne nieraz rozdźwięki wolności i siły. Z tych walk przecie, których jako codzienny towarzysz i przyszły następca Neumana w Paryżu byłem świadkiem i uczestnikiem, nie wyniósł Neuman bynajmniej ani niewiary, ani niechęci do dalszego działania; były one dla niego przeżyciami, które mu pokazały tragiczne perspektywy, kryjące się za wszelkim naprawdę twórczym czynem i one to nauczyły go decyzji, rozdzierających serca, aby ratować coś ważniejszego, niż serce człowieka.

Z tych walk właśnie wyszedł Neuman przekonany, że jakiekolwiek błędy popełniliśmy, przed któremi później tem mocniej i tem odważniej kogo należało ostrzegał, jakkolwiek ciężkie były nasze grzechy względem polskiej wielkiej tradycji, to przecież wszystkie wysiłki Polaków miłujących wolność, prawdziwych demokratów, powinny iść ku wzmożeniu polskiego państwa, bo w jego naturze, w jego przyrodzonej racji stanu leży obrona wolności, gdy racją stanu Niemiec i Rosji jest przemoc i niewola. Na swem politycznem odludziu w Norwegji, gdzie był przez dziesięć lat ministrem i skąd zrzadka tylko przyjeżdżał do kraju, nie miał Neuman wiele sposobności, aby okazać te zalety męża stanu, zdobyte przez głębokie wewnętrzne przeżycia. Między Polską i Norwegją niewiele było spraw wymagających dyplomatycznch interwencji, to też Neuman, przyzwyczajony do ciągłej pracy, zawsze zapalony do rozmów i dyskusji, a zdany teraz na bezczynność, poradził sobie z nią po swojemu w ten sposób, że wszedł poprostu w politykę norweską, stając się wkrótce nietylko wielkim specjalistą w polityce zagranicznej norweskiej, ale i arbitrem różnych trudności wewnętrznych. Znali go w Norwegji wszyscy, którzy mieli coś do czynienia w życiu publicznym i wszyscy go darzyli przyjaźnią, uważając za rodzaj instytucji norweskiej, będącej zarazem najlepszą propagandą Polski. Tej przyjaźni do Norwegji jak też polskiej odwagi i lojalności dał Neuman piękny przykład w zimie 1940 roku, kiedy towarzyszył królowi Haakonowi w jego legendarnych usiłowaniach, aby mimo bomb spadających i najazdu, pozostać na ziemi norweskiej. Ta prawdziwa saga, której bohaterami byli król Haakon i minister Polski, pozostała na zawsze w pamięci Norwegów i kiedy Neuman opuszczał w Londynie swoje stanowisko przy królu, żegnany był przez niego publicznie nie jak obcy dyplomata, ale jak najbliższy człowiek.

Całą miarę swego charakteru i szerokości politycznego spojrzenia dać miał Neuman w chwili gdy stanęła przed nami konieczność zasadniczych w sprawach polsko-rosyjskich decyzji. Jeden z największych w tej dziedzinie specjalistów, zobaczył odrazu Neuman bieg tych spraw tak, jak one później się potoczyły. Łamiąc, najsłuszniej, małe względy urzędnicze i hierarchiczne, użył wszystkich swych wpływów i wszystkich środków perswazji, aby odwlec podpisanie paktu, który w ówczesnej redakcji wydawał mu się groźnym niebezpieczeństwem i aby doprowadzić do korzystniejszej, a wtedy, jego zdaniem, możliwej do osiągnięcia, umowy. Stanął śmiało do oczu wszystkim z tą lojalnością i odwagą, które nakazywały zawsze szacunek dla niego przeciwnikom i które sprawiły, że generał Sikorski odzywał się zawsze o Neumanie jako o najbardziej lojalnym oponencie.

W Meksyku, gdzie został później wysłany, zdołał parokrotnie dokonać posunięć ogólnego znaczenia, w duchu właśnie tej nieustępliwości i prawdomówności, które w stosunkach polsko-rosyjskich uważał za pierwszy nakaz politycznego realizmu i za jedynie właściwą wobec takiego partnera taktykę.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 80 cents
Half yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

Teraz stawały przed nim nowe zadania, do których wszystko go przeznaczało: słuszność bronionych przez niego poglądów, dziś tak tragicznie jasna, kompetencja szczególna w najważniejszych dzis dla nas sprawach rosyjskich, ważne przyjaźnie wśród obcych, wspólny język, który znajdował z Polakami wszelkich obozów, ale szczerze broniących niepodległości Polski, wreszcie związki najbliższe z Poską Partą Socjaistyczną, która wzięła na siebie odpowiedzialność za politykę polską w tej przełomowej chwili. Tych zadań najważniejszych w swem życiu już nie dokona i rozglądamy się niespokojnie za tymi, którzy by mogli dokonać ich równie jak on skutecznie, równie szlachetnie, odważnie i w takim jak on o rozumiał pięknym polskim duchu. Niema go między nami w chwili, gdy formujemy szereg nieustępliwy tych, co ani na chwilę nie zwątpili o Polsce i o jej zwycięstwie, którzy nigdy nie poddadzą się przemocy i którzy gotowi są walczyć z nią do ostatka i w tej walce oddać życie.

Władysław Neuman był jednym z wodzów tego szeregu i padł na polu zaczynającej się, ostatecznej walki, sterawszy siły w służbie dla Polski, która była jego największą miłością.

Przyjaciele żegnają go wspomnieniem jego niezawodnej przyjaźni, jego ludzkiej przychylności i delikatności uczuć, której nie oduczyła go tak zimna i deprawująca służba polityczna. Neuman był jednym z rzadkich już ludzi, którzy odczuwali urok przyjacielskiej rozmowy, znali wagę rzeczy, nie dających się zmierzyć materjalnie, a do pełnego życia niezbędnych. Ze ściśniętem sercem myślimy czem jest jego śmierć dla pani Neumanowej, którą adorował naprawdę romantycznem uczuciem, jak głęboko odczują ją jego pasierbice, dla których był prawdziwym ojcem.

Pozostanie Neuman na zawsze na kartach, gdzie zapisane są wspólne

losy Polaków i Żydów, jako wzór Żyda, który był Polakiem i który Polakom-aryjczykom świecił przykładem miłości ojczyzny; chciał on dać ze siebie dla Polski po stokroć więcej, niż inni i nigdy nie oglądał się na to, co kto o nim powie, gdyż sam dał sobie prawo być Polakiem i nałożył na siebie obowiązek, aby być najlepszym. Mógłby o sobie powiedzieć "non omnis moriar".

Bo życie jego, jak życie każdego z nas skłócone i sprzeczne, rozświetlał blask wielkiej miłości do Polski, blask, którego jasna smuga zostaje po nim na ziemi. Będzie on dla nas pzykładem. Ilekroć przyjdzie na nas wahanie czy zwątpienie, przypomnimy sobie zawsze jego brak wahań i zwątpienia i jego ostatnie do nas słowa pełne siły i ufności. Niech mu obca ziemia będzie lekka. Niech mu jak dobremu żołnierzowi Polska przyśni się w grobie.





FELICJA LILPOP-KRANCOWA

Jan Karski o Polsce Podziemnej

1. KSIĄŻKA

— "Nie daję panu żadnych zleceń ani instrukcji. Nie reprezentuje pan Polskiego Rządu ani też jego polityki. Udogodnienia, które panu dajemy, są natury czysto technicznej. Zadaniem pana będzie odtwarzać objektywnie wszystko, co pan widział, przez co pan przeszedł, i co w kraju polecono panu mówić."

Temi słowy, wypowiedzianemi doń w Londynie przez gen. Sikorskiego, "zmęczonego pana o ojcowskiem spojrzeniu" — zamyka Karski swą niezwykłą opowieść o Polskiem Państwie Podziemnem: relację najuczciwszą i najpełniejszą, jaką dane było komukolwiek w tym kraju czytać. Zaczyna ją zaś "od początku", t. zn. od nocy z 23go na 24 sierpnia 1939go roku, stanowiącej pomost między staremi a nowemi czasy, kiedy to, zaspanego po balu w poselstwie portugalskiem, poderwał na nogi dekret mobilizacji.

Następują wydarzenia w porządku chronologicznym: snuje się widmo tragicznej kampanji przeŚniowej, marsz na wschód, zakończony podstępnem wzięciem do niewoli sowieckiej pod Tarnopolem. Z niewoli rosyjskiej wydostaje się Karski względnie szybko, zamiana munduru z kolegą pozwala mu skorzystać z wymiany jeńców między Rosją i Niemcami. Zapoznawszy się, już po stronie niemieckiej, z obozem w Radomiu, ucieka następnie z pociągu i wędruje pieszo do Warszawy. Tam natrafia niemal odrazu na pierwsze komórki organizującego się oporu, wstępuje doń i przeszedłszy kolejno różne szczeble organizacji, pełni misje i zajmuje stanowisko coraz bardzej odpowiedzialne. Jako spjecjalny wysłannik władz krajowych jeździ on do naszego Rządu, najpierw do Paryża i Angers, potem do Londynu. Przyłapany za drugim razem przez Gestapo i poddany torturom, ucieka ze słowackiego szpitala z pomocą ludzi, którzy otrzymali od władz podziemnych dwojaki rozkaz: "uratować go za wszelką cenę, a w raze gdyby to było niewykonalne — zabić". Zmuszony do czasowego zejścia z oczu Gestapo, ukrywa się potem na wsi i pracuje w dziale propagandy politycznej. Wreszcie szykuje się do ponownej misji do Rządu, mającej objąć tym razem szczegółowe sprawozdanie z całej aktywności politycznej, administracyjnej i wojskowej Państwa Podziemnego, oraz specjalny raport o okrucieństwach niemieckich.

Z misją tą przyjeżdża do Londynu. Rządowi zdaje programy czterech oddzielnych, acz ściśle ze sobą współpracujących partj politycznych. Przedstawicielom organizacji żydowskich mówi o straszliwym losie skazanego na zagładę ghetta i o jego postanowieniu walki; o obozie śmierci w Bełżcu. Potem zaczyna się praca informowania przywódców Narodów Zjednoczonych o sytuacji w Polsce. Karski rozmawia z Edenem, ze wszystkiemi najwybitniejszemi postaciami życia politycznego Anglji, — zdaje raport Komisji do Badania Zbrodni Wojennych, przeprowadza rozmowy z członkami Parlamentu, udziela wywiadów prasie angielskiej i sprzymierzonej. W Amerce informacje jego notują skrzętnie w State Department, Department of Justice, Supreme Court. Mówi do katolików i mówi do żydów. Rozmawia dwie godziny z prezydentem Rooseveltem, niezaspokojonym w chęci dowiedzienia się wszystkiego.

Powyższe streszczenie książki, z konieczności bardzo pobieżne, nie daje w żadnym razie dostatecznego obrazu całości. Przytaczanie słów autora też nie jest odpowiednią metodą, bo sam wybór może być uważany za tendencyjny. — Karski zaś mówi prawdę i tylko prawdę. I dlatego książkę tę trzeba koniecznie przeczytać. A przeczytawszy — do niej powracać. Bo chociaż treść jest tak porywająca, że oderwać się od tej lektury nie można, są w niej podane fakty i powiedziane prawdy, które każdy Polak na pamięć znać powinien.

II. KRYTYKI.

Chcę tu pisać, jak zareagowała prasa amerykańska na książkę Jana Karskiego, bo album z recenzjami, które się dotąd ukazały — a przybywa ich codzień — jest sam w sobie bardzo pokaźnym tomem. Więc najpierw, w ciągu września, października i połowy listopada, powtarzają się zapowiedzi wydawcy i przedruki poszczególnych rozdziałów Collier's, The American Mercury i Harper's Bazar. — Wydana w pierwszej połowie października przz bostońską firmę Houghton Mifflin Co., "Story of a Secret State" pojawiła się na rynku dopiero w końcu listopada, zgodne z decyzją "Book of the Month Club", który zakupił ją dla swoich czytelników na styczeń, lecz w drodze wyjątku zgodził się na wcześniejszą jej sprzedaż. Dalej przeplatają sę osobiste wywiady, handlowe ogłoszenia i krytki literackie, przyczem, przejrzawszy tych ostatnich około stu, jest się uderzonym zgodnością opinji amerykańskiej odnośnie opisywanych przez Karskiego faktów. Poza nielicznymi wyjątkami, wszyscy zauważają ,że:

1. Ruch podziemny nie jest tylko organizacją walki przeciw okupantom niemieckim, ale jest państwem samem w sobie, ze wszystkiemi władzami, urzędami i instytucjami, właściwemi demokratycznemu państwu.

2. Rząd tego Państwa Podziemnego znajduje się zagranicą, gdyż musi mieć możność bezośrednich kontaktów i swobodnego wypowiadania się w polityce międzynarodowej. (siedzibą jego jest najpierw Paryż i Angers, potem Londyn.)

3. Polska jest jedynem państwem, które nietylko nie wydało rządu Quislinga, lecz w którem żaden "państwowy" urząd nie jest obsadzony przez Polaka.

4. Ruch podziemny ma zdecydowany charakter demokratyczny i postępowy.

A teraz parę słów o tej jedynej w swoim rodzaju instytucji literackiej, jaką jest Book of the month club", licząca paręset tysięcy członków. — Wydaje ona swój własny dodatek miesięczny, a potem specjalny previews, w którym zapoznaje czytelnika z głosami za i przeciw danemu wyborowi, przyczem zaznaczyć należy, że do jury wchodzą krytycy najpoważniejszych pism amerykańskich. Posłuchajmy, jak wygląda w skróceniu debata nad książką Karskiego.

"Jest to jedna z najbardziej porywających książek, jakie zrodziły się z drugiej wojny Niemiec przeciw ludzkości" pisze Cliffon Fadiman.

"Dokument polityczny wielkiej doniosłości, pean do wolność miłujących ludów, pierwszorzędna "adventure story", straszliwe oskarżenie brutalności i podłości" — mówi John Chamberlain z Harper's Magazine.

"Najbardziej dramatyczna i wstrząsająca ze wszystkich wydanych dotąd książek o obecnej wojnie — zabiera głos Charles Lee z Philadelphia Record. Oparta na osobistem doświadczeniu, zapisuje żywą historję, rzuca światło na Polskę Podziemną, jest hołdem dla odwagi narodu. Porywająca, potrzebna, niezapomniana."

"Przemówi ona do Amerykan jak urzędowe zeznanie, na które oddawna czekali" — zapewnia Clyde Beck w Detroit News.

"Karski mówi tylko o tem, co sam widział i przez co sam przeszedł. Podana przez niego brutalna prawda o postępowaniu Niemców w Polsce jest oskarżeniem niemieckiego narodu, za które nietylko Nazi będą odpowia-



JAN KARSKI

dać", pisze Dale Wilson z Milwaukee Journal.

Z obszerniejszych recenzyj na pierwszem miejscu wymienić należałoby Times z dn. 4 grudnia, który pisze, że: "gdyby Polska, pokonana i zgnieciona w 39-ym roku przez Niemcy i Rosję, zatraciła narodowego ducha— niewielu znalazłoby się takich, którzy ośmieliliby się ją potępić. W żadnym innym kaju widoki na zorganizowanie undergroundu nie były bardziej beznadziejne. A przecież powstał on odrazu."

...i artykuł Orville Prescott w N. Y. Times z dn. 27 list. zakończony słowami, "Budząc w nas uczucie litości i podziwu dla Polaków, książka ta wiele powinnaby dokonać w kierunku przekonania czytelników o gorzko zdobytym prawie Polski do wolności i zajęcia honorowego miejsca w powojennym świecie: cel, do zdobycia którego dla wszystkich ludów dążą Narody Zjednoczone".

III. AUTOR.

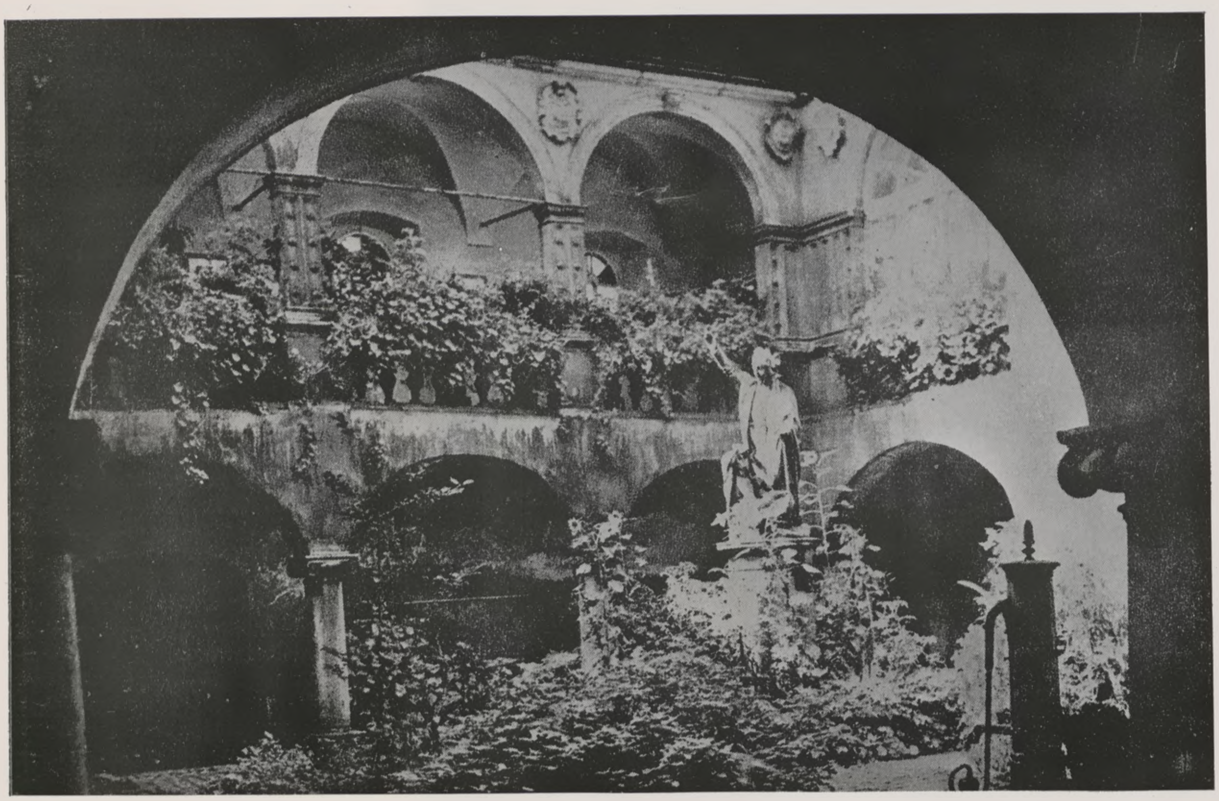
Pisząc o historji Państwa Podziemnego, nie sposób zamilczeć o jej autorze. Wprawdzie, jak on sam mawia, wszystko, co miał od powiedzenia, już w niej zawarł, ale tak nie jest. Głos człowieka który przez cztery lata żył życiem Polski Podziemnej i którego cały wysiłek obecny wytężony jest w dalszej służbie dla tej samej sprawy — jest pozycją z polskiego punktu widzenia nieocenioną.

Niezwykła pamięć, wyćwiczona jeszcze w warunkach tamtej pracy, rzetelność jego relacji, dzielność wobec grożącej śmierci z rąk Gestapo, a wreszcie wola służenia Polsce w najtrudniejszych warunkach gdy, wyjechawszy do Francji jako wysłannik, spowotem do kraju wraca — oto nczelne cechy tego w jednej osobie autora i żołnierza, którego największą troską jest, aby być dobrze zrozumianym.

Działalność propagandowo-publicystyczna to znów osobny rozdział. Odczyty, przemówienia radjowe, z których najgłośniejszym echem odbiła się dyskusja w audycji People's Platform, spotkania z dziennikarzami i wywiady w zawrotnej liczbie około trzystu, wreszcie projektowane wydanie książki w Anglji, Szwajcarji, Brazylji, Portugalji, Szwecji, a prawdopodobnie także we Francji —swiadczą nietyle o "żelaznym zdrowiu" którego właśnie nie posiada co o niespożytej pasji z zasięgu tych samych cnót o których mówił generał Sikorski, dekorując Jana Karskiego Krzyżem Virtuti Militari: "Za zasługi... za wierną służbę.... za oddanie dla kraju.... za odwagę i poświęcenie.. za wiarę w zwycięstwo."

LUDWIKA CIECHANOWIECKA

KRAKÓW MEGO DZIECIŃSTWA



Dziedziniec domu na ulicy Kanoniczej w Krakowie

Do tego Krakowa moich lat szczenięcych daleka wiedzie droga.

Jak w męczącym śnie muszę przepychać się w tłumie innych, nowych wspomnień, muszę odpychać narastające kulisy, niebotyki Nowego Yorku, portugalskie fajansowe domki, skały Madrytu, rzymskie ruiny i paryskie bistra. Wszystkie miasta emigracjnej włóczęgi nacierają na mnie, spiętrzają się jedne ponad drugiemi, przytłaczają mnie kamiennym ciężarem.

Zupełnie jak w złym śnie.

Ale w końcu zawsze zwycięża.... Kraków. Niekiedy, bardzo często wieś kresowa, srebrna Soza, Dniepr szumiący białoruską kołysankę, to znów Warszawa — ale Kraków ma w tych snach pierwszeństwo.

Niechybny znak starości. Siwy nauczyciel matematyki lubi zapewne wspominać czasy, gdy był sztubakiem i nie wiedział ile jest siedem razy osiem. O starszych paniach mawiał Makuszyński, że im bardziej zgrzybiałe tem chętniej składają buzię w ciup, rączki w małdrzyk i opowiadają, jak to było "gdy Bubusia miała cztery latka.

Gdy się jednak tak składa, że i te "ctely latka i sesć" i dwanaście, upływały w takiej jak krakowska atmosferze, gdzie co drugi człowiek czekał na swego Hoesicka, co go uwieczni w bjografji — wówczas każde wspomnienie nabiera szczególnego posmaku.

Teraz naprzykład odczuwaliśmy wszyscy obłędny lęk o Wawel, o Szarą Kamienicę, o kościół Marjacki i rondel Florjański. Zimny dreszcz pełznął po karku na myśl, że Kraków znajdzie się w ogniowym kole bitwy i że rozdarta bombami ziemia pochłonie nasze najświętsze pamiątki. A jednocześnie dzwoniły nam w mózgu dzwony krakowskich wspomnień... Przybiegło wówczas do mnie także jedno wspomnienie, wiążące się z Wawelem.

* * *

Na ulicy Garncarskiej stał dworek drewniany, wielopokojowy w ogrodzie cienistym, zachwaszczonym, pachnącym maciejką i wilgocią, co pełzła od bliskiej Rudawy. Furtę otwierał stary służący, którego świtę stanowiła zgraja kudłatych Pekińczyków. Toczyły się niby włochate kłębki wyrażając głośno niechęć do gości. Wabiły się Bimba, Bambino, Bambinello.

Potem zjawiała się dwunastoletnia dziewczynka, smukła jak kolumienka (wyrażenie nie moje, tylko rzeźbiarza Szymanowskiego), w dziwacznej sukience z samodziału, że stokrotkami w rozwichrzonych popielatych włosach. To była cudna Wandzia, wychowanka prof. Ulanowskiego. Wynalazek samego Sienkiewicza, który podczas spaceru z Ulanowskimi zobaczył ją w mieszkaniu ubogiego cieśli i rzucił jedno zdanie: "ta dziewczyna ma duszę w oczach". To wystarczyło. Zacna matka profesora, entuzjastka niepoprawna, uwielbiająca Sienkiewicza, z miejsca wycyganiła Wandeczkę od rodziców i pasowała ją na swoją przybraną córeczkę. Już po paru latach Wandzia "parlowała franse", jak papużka, nazywała panią Ulanowską "Cherie", przemawiała po włosku do piesków i stawiała kwiaty przed fotografją autora Krzyżaków.

Z mroków zapomnienia wyłania się miła, drobna postać pani Ulanoskiej, w czarnej ogoniastej sukni, zapiętej pod szyję, w byle jak włożonym na ulizane włosy kapeluszu, spiętym długiemi szpilkami. Sepleniąca, nerwowa, nie szła ale biegła przez życie, jakby miała mechanikę w śród-

ku. Motorem który ją utrzymywał w nieustannym ruchu była namiętna wiara w bliską niepodległość Polski i niecierpliwe miotanie się, by na ten wielki dzień przygotować Wawel, jeszcze ukrywający królewską urodę pod ohydą tapet papierowych, austryjackich druków, wojskowych regulaminów, jako że w komnatach polskich królów wylegiwali się na żelaznych łóżkach skoszarowani austryjaccy żołnierze.

Pani Ulanowska uparła się i przysięgła sobie, że zbierze odpowiednią ilość halerzy, dosłownie halerzy, by Wawel odnowić.

Jakie sobie projektowała rozmowy na ten temat z Franz Josephem, tego nie wiem, bo do mojego ówczesnego światka docierały tylko echa narad starszych pań i wąsatych panów w cwikierach. Jedynym namacalnym dowodem, że ja byłam dopuszczona do zaklętego koła wtajemniczonych, była pękata gliniana skarbonka, którą pracowicie napełniałam halerzami. Pochodziły one ze zmiany grubszych pieniędzy, za które w szkolnym sklepiku kupowało się stalówki i cyrkle.

W pamięci utkwiło mi jedno tylko zebranie miłośników Wawelu.

W salonie pełnym zabawnych, wywrotnych fotelików, haftowanych krzyżykowym ściegiem, tłoczył się cały Kraków. Przy długim stole pani Ulanowska tłukła puszki w drobny mak, brząkała pieniążkami i zapisywała wyniki zbiorów w księdze. A w przyległej bibljotece wyjątkowo modernistycznie urządzonej, obitej szarym płotnem, zastawionej półkami od podłogi sufitu, zawsze zdyszany, nieraz apoplektycznie czerwony, jednonogi profesor Ulanowski, wsparty na kulach, wiódł tajemnicze dyskusje z gromadą brodatych starców. Pewnie najstarszy z nich nie przekroczył czterdziestki, ale wskutek bujnego owłosienia wszyscy wyglądali, jak apostoły podeszłe w leciech.

Czy to w ten dzień czy w inną niedzielę tego nie skleję, bo mi puzzle wspomnień rozlatuje się jak potłuczona mozaika, bibljoteka była wyjątkowo uroczysta. Profesor Ulanowski, zwkle najgłośniej dowodzący milczał, wszyscy porozsiadali się na fotelach i rzeźbionych krzesłach, przytaszczonych z sąsiedniej jadalni. Dymił tam samowar na stole, a w szklanych paterach ciemniały smażone śliwki, nadziewane tłuczonemi orzeszkami i rodzenkami, specjał domu Ulanowskich.

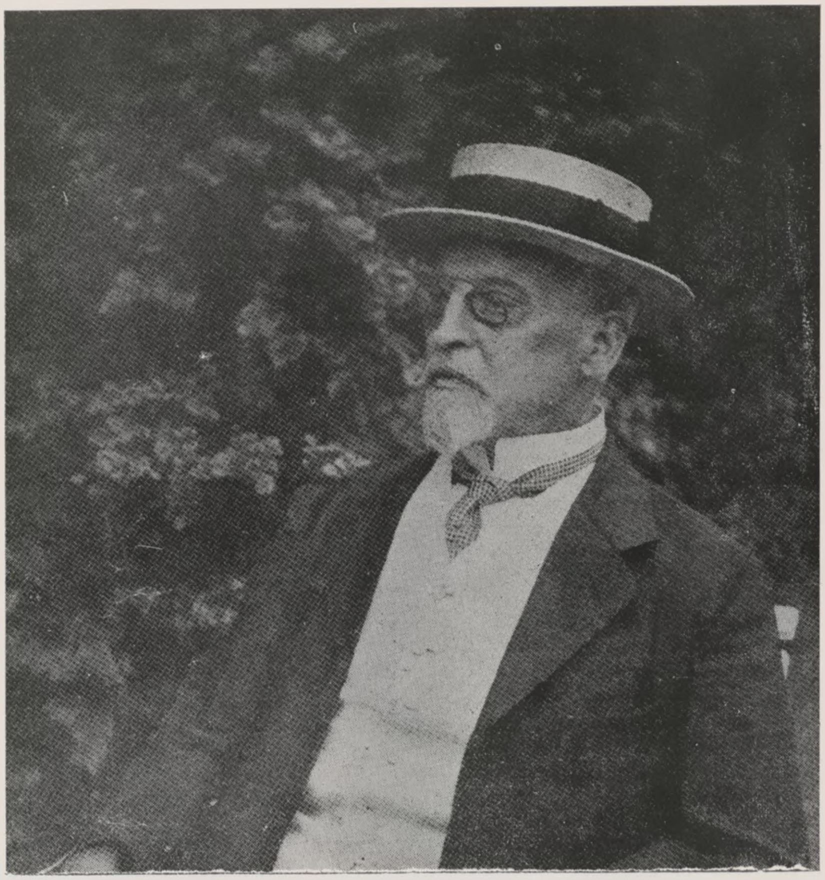
Doskonale pamiętam mojego nauczyciela rysunków bladego, chudeusza, Leona Kowalskiego z brodą w szpic, z kołnierzykiem w dwa łamane szpice; siedzi na kozetce, pod rękę ze swą ponętną, bujną żoną, Marusią, z kresowej rodziny Piottuch Kublickich. Widzę jak przez mgłę, fantastyczną, wężowo giętką, pannę Skaza, która pozowała Axentowiczowi do obrazu "Jesień" i bibljotekarkę Akademji Umiejętności, pannę D'Abancourt i wielu imponujących panów. Ale najbardziej imponujący był ten jeden, jedyny, przystojny, siwiejący, z przedziałkiem i starannie przyczesaną bródką, który donośnym głosem i z większą pewnością siebie, niż nasi nauczyciele klasztorni, opowiadał swoje wrażenia z podróży morzem.

Nieco w tyle, koło pieca kaflowego, na kołyszącym fotelu siedziała Wandzia, z którą lubiałam grywać w diabolo albo spotykać się na lekcji woń cygar Panetellesów, słyszę szum samowaru, skrzypienie bujaka, który kołyszę z początku "ot tak sobie" bez zbytniego przejęcia, traktując to jako nową rozrywkę, ale który stopniowo staje się coraz cięższy i trudniejszy do poruszenia. Wkońcu przestaję kołysać. Szare, przejrzyste oczy Wandeczki są teraz zimne jak lód.

— Kołysz! — syczy, bo powiem coś mówiła o Sienkiewiczu. Powiem całkiem głośno i wyraźnie... że jest podobny do...

— Cicho.... Zlituj się.... Ręka mnie boli....

— Kooołysz...



Henryk Sienkiewicz

malarstwa, ale która w owej chwili zachowywała się zupełnie niemożliwie, zrobiła się naraz szalenie ważna.

— Czego tak zadzierasz nosa — spytałam jej szeptem, bo mnie już zaczęła na dobre wyprowadzać z równowagi.

— Cicho bądź.. Nie rozumiesz.. Jak Sienkiewicz mówi masz być cicho.

— Twój Sienkiewicz jest podobny do capa. Wiesz, z powodu tej bródki.

Wandzia zareagowała inaczej niż sądziłam.

— Kołysz mnie! — rzuciła od niechcenia, tonem królewny z bajki.

Jakby to dziś było czuję mdlącą

Popycham fotel pracowicie, więc się kołysze, kołysze... W duchu przysięgam sobie, że z tą nieznośną Wandą nigdy już wspólnie nie będę rysować martwych natur u pana Kowalskiego, że już nigdy jej nie pożyczę diabola i że jeszcze zobaczy jak się jej odpłacę, hoho! Pokój się kołysze niby okręt z ciemną gromadą panów i pań, w kapeluszach jak koła młyńskie. I znowu z mroków wyłaniają się kulisy kamienne nowojorskich niebotyków, piętrzą się, rosną i zasłaniają Kraków — strącają go w odmęt zapomnienia. Ale tylko "do następnego razu".

STANISŁAW BŁASZCZAK

Przez zieloną granicę na nartach

— Najlepiej w Sylwestra. Niemcy się popiją, to i patroli nie będzie im się chciało wysyłać na granicę. Nietylko Niemca, ale nawet psa z kulawą nogą w tę noc nie spotkamy — przekonywał nas przewodnik.

Wprawdzie nie bardzo wiedziałem, co w jego wywodach może znaczyć powiedzenie "pies z kulawą nogą", nie mniej jednak rozumowanie trzeba było uznać za słuszne i przejście granicy odłożyć o jeden dzień.

Nazajutrz, w dzień Sylwestrowy, zerwaliśmy się wcześniej z łożek aby poczynić ostateczne przygotowania. Przez nasze okna widać było doskonale ruch uliczny Krynicy. Wśród tłumów Niemców i umundurowanych i nieumundurowanych Niemek, które gromadnie zjechały do "perły uzdrowisk polskich", od czasu do czasu można było zauważyć któregoś z mieszkańców Krynicy. Niemcy widocznie już od samego rana zaczęli żegnać stary i witać nowy rok, gdyż wielu z nich z trudem mogło utrzymać się na nogach.

— Tak, niewątpliwie, wybór dnia na przejście granicy był niezwykle trafny — pomyślałem, widząc pijanych Niemców.

W przygotowaniach naszych najwięcej czasu zajęło nam gruntowne opatrzenie sprzętu narciarskiego, który z wielkim trudem i za słone pieniądze zdołał zdobyć dla nas przewodnik. Przy tej czynności zacząłem obserwować Grubego (ze względu na korpulentną tuszę przezwisko "Beczka", lub w połączeniu — "Gruby jak beczka" — bardziej by mu odpowiadało..), który od dłuższego czasu oglądał uważnie przydzielony mu sprzęt. Zacząłem go podejrzywać, że z jego jazdą na nartach będzie nieco gorzej, chociaż wczoraj zapewniał nas, że na nartach jeździ już od szeregu lat i że nawet brał udział w jakichś tam zawodach narciarskich z zupełnie niezłym wynikiem.

— No i cóż tak się patrzysz w te deski jak wrona w gnat! — przerwałem mu te zbyt długie oględziny. — Bierz się lepiej za smar i wyreguluj paski bo już na pierwszych metrach deski z nóg ci zlecą!

Gruby nic nie odpowiedział, mruknął tylko coś pod nosem, coś w rodzaju "Do diabła z tymi nartami!" i zabrał się do smarowania desek. Widać jednak było, że poraz pierwszy w życiu ma z tym do czynienia.

— Gruby, przyznaj się, jak to u ciebie naprawdę wygląda ta jazda na nartach? — zapytał go Tomek, który również zauważył nieudolne zabiegi Grubego koło sprzętu. — Lepiej odrazu powiedz prawdę, żebyśmy wiedzieli czego się trzymać. Nie bój się, przecież nikt ci za to w skórę nie da.

Gruby popatrzał na nas jakoś mocno zażenowany, wzruszył ramionami i wyrzucił z siebie jednym tchem:— "Jak wygląda, chcesz wiedzieć? Wcale nie wygląda! ...Nigdy w życiu nie miałem nart na nogach...

Nastała chwila ciszy. Spojrzeliśmy po sobie. W naszych oczach z pewnością można było wyczytać coś pośredniego pomiędzy przerażeniem a przygnębieniem i bezradnością. Pomimo, iż właśnie takiej a nie innej odpowiedzi się spodziewałem, to jednak — przyznaję — zaskoczył mnie. O dojściu i przejściu granicy pieszo wobec wyjątkowo dużych opadów śnieżnych nawet i mowy być nie mogło. Na tego rodzaju eskapadę można się było puścić tylko i wyłącznie na nartach, co zresztą na samym wstępie wyjaśnił nam przewodnik. Pieszo— i to z trudem — można było dojść do granicy tylko szosą, jednak o tej drodze nikt z nas nawet i nie myślał, bowiem zdawaliśmy sobie sprawę, że tą drogą niezbyt daleko byśmy zaszli... Roiło się na niej od Niemców...

— I co teraz będzie? — rzuciłem mimowoli pytanie.

— Albo ja wiem! mruknął Tomek i spojrzał na Grubego, który z dziwnie żałosną miną spoglądał bezradnie kolejno na mnie i na Tomka.

— A co ma być! — zawołał porywczo Gruby. — Pojadę na nartach tak samo dobrze jak i wy. Zamiast martwić się o mnie, pomyślcie lepiej o jedzeniu na drogę!

— No, naturalnie.. U ciebie żołądek to grunt! — zawołałem ze złością.

Dalszy ciąg tej niezbyt miłej rozmówki został z konieczności przerwany z powodu nadejścia przewodnika. Omówiliśmy z nim ostatecznie wszystkie detale i drobiazgi oraz ustaliliśmy godzinę wymarszu na 10tą wieczorem. Niezależnie od tego Gruby nie zapomniał o prowiantach i poczynienie odpowiednich zakupów włożył również na jego barki.

O umiejętnościach narciarskich Grubego nie wspomnieliśmy przewodnikowi ani słowem, gdyż byliśmy przekonani, że gdyby dowiedział się prawdy, natychmiast zrezgnowałby ze swej roli przewodnika, czemu zresztą nie należałoby się dziwić. Po jego wyjściu odbyliśmy krótką naradę. Bez chwili namysłu zgodziliśmy się, że Grubego zostawić nie możemy. Zdecydowaliśmy jednocześnie, że przed wymarszem musi on odbyć mały trening, aby miał chociaż jakie takie pojęcie o jeździe.

Przypasaliśmy deski i gęsiego ruszyliśmy do do pobliskiego lasku, położonego na stoku łagodnego wzgórza. Dla nowicjusza był to teren wprost idealny. Gruby robił wszystko aby utrzymać się na deskach w pozycji pionowej, jednak te jego dobre chęci obracała w niwecz jakaś dziwna skłonność do pozycji pionowej, nic więc dziwnego, że co chwila całym ciężarem swej potężnej tuszy walił się w puszysty śnieg, powodując wokół siebie tak wielkie tumany śnieżnego pyłu, że ginął nam zupełnie z oczu. Po niebywałych wysiłkach stawał znowu na nogi, sapał, klął i ćwiczył dalej z godną pochwały wytrwałością i uporem.

Tym pierwszym wystąpem Grubego nie byliśmy zbytnio zbudowani. Powiedzieliśmy przecież sobie, że... "jakoś to będzie" i... rzeczywiście— jakoś to było.

* * *

W kilkanaście minut po 10ej byliśmy już na trasie. Na przodzie przewodnik miarowymi ruchami nóg i rąk sunął jak maszyna nastawiona na jednakowy bieg. Za nim ciągnął Tomek a trzeci z kolei Gruby. Mnie przypadło w udziale ostatnie miejsce. Było to dla mnie o tyle wygodne, że jechałem trasą już przetartą przez nich i z tego tytułu przyjąłem na siebie z konieczności obowiązek okazywania w razie potrzeby pomocy Grubemu.

Spojrzałem na zegarek — dochodziła jedenasta. A więc już prawie godzinę jesteśmy w drodze i jakoś wszystko idzie dobrze. Wprawdzie Gruby wylądował kilka razy na tak zwanej "trzeciej narcie", ale nie pociągnęło to dla niego żadnych przykrych następstw. Ja osobiście zyskałem na tym tylko tyle, że miałem okazję do zapoznania się z jego repertuarem przekleństw, których całe potoki wylewał z siebie po każdym upadku. A był to repertuar naprawdę przebogaty i dla kolekcjonerów przekleństw (bo są przecież chyba i tacy...) byłaby to prawdziwa skarbnica.

Tempo jazdy musiało być dosyć ostre, bo koszula zaczynała mi się przylepiać do ciała, nie mówiąc już o Grubym, z którego buchały kłęby pary jak z lokomotywy.

— Na miłość boską, krzyknij no na tego górala niech przystanie, bo czuję, że mnie lada chwila szlag trafi! — zawołał już w najwyższej pasji Gruby, gramoląc się ze śniegu po

jednym z kolejnych "przysiadów", jak swoje upadki sam nazywał.

Interwencja moja okazała się jednak zbyteczna, gdyż przewodnik sam zarządził w tej chwili odpoczynek. Zgromadzeni na małej polance powbijaliśmy kijki w śnieg i wydobyliśmy papierosy. Cztery nikłe smużki dymu zaczęły się unosić ku niebu, gdzie świecił jasno księżyc i niezliczone ilości roziskrzonych gwiazd. Gruby potężnych rozmiarów chustką ocierał spocone czoło i twarz i oddychał ciężko. Nikt z nas jakoś nie miał ochoty do rozmowy.

— Nie tęgi z pana narciarz — zrobił w pewnej chwili uwagę przewodnik, widząc jego opłakany stan.—Ciekaw jestem, jak to było na tych zawodach, w których pan brał udział?..

— A no, jakoś było... Brali w nich udział rozsądni ludzie, którzy nie jechali na wariata, tak jak my tutaj! odciął się ze złością.

Przewodnik widocznie nie miał również ochoty do dalszej dyskusji na ten temat, uśmiechnął się tylko nieznacznie, co świadczyło wymownie, jakiego jest on zdania o zdolnościach narciarskich Grubego.

Ruszyliśmy dalej w tej samej kolejności. Przed wyruszeniem w dalszą drogę przewodnk uprzedził nas, że znajdujemy się już w pasie przygranicznym i że należy zachować daleko idące środki ostrożności. Szczęście wyraźnie nam sprzyjało, gdyż w tejże chwili księżyc przesłonił ciemne chmury tak że z trudem rozeznać mogłem przed sobą sylwetkę Grubego która coraz częściej zaczęła zapadać w zwały śniegu. Wiedziałem co o tem sądzić — tak bardzo znienawidzone pzez niego "przysiady" zaczęły się mu przytrafiać raz po raz. Widocznie coraz bardziej opadał z sił. Zdawał sobie jednak sprawę co to jest strefa przygraniczna, gdyż zrywał się i ostatnim wysiłkiem woli, bo już nie sił, ciągnął za przewodnikiem i Tomkiem.

Po kilkudziesięciu minutach jazdy znaleźliśmy się na szczycie dość wyniosłego wzgórza. Przewodnik zatrzymał się i wskazując kijkiem na czerniejący w dole las, oświadczył, że jest to las już po drugiej stronie granicy. A więc jeden ostry zjazd i będziemy poza granicami Kraju... jeszcze kilka minut jazdy i będziemy już bezpieczni...

Przewodnik odbił się mocno kijami i błyskawicznie z miejsca ruszył naprzód. Tomek poszedł jego śladem. Gruby dał mi znak, że teraz na mnie kolej. Zrozumiałem, że chce jechać ostatni. Odbiłem się mocno i w tejże chwili pęd powietrza począł mi świszczeć w uszach. Całą swoją uwagę i całą energję skupiłem na jednym — usta na nogach... nie upaść. Czułem że jadę coraz szybciej. Ciemna ściana lasu zbliżała się do mnie coraz bardziej. Ze strachem zacząłem myśleć, że w ciemnościach nocy w pełnym pędzie wjadę na jakieś drzewo i pogruchoczę kości. Naraz zauważyłem przed sobą dwie ciemne plamy. Był to przewodnik i Tomek, którzy wymachując kijkami, dawali mi znaki żebym się zatrzymał. Skręciłem nieco w lewo i... wylądowałem w krzaku potężnego jałowca...

W tejże chwili księżyc wyjrzał znowu zpoza chmur i całe zbocze wzgórza było widne jak na dłoni. Na jego nieskazitelnej bieli poruszała się jakaś ciemna plama. "To Gruby" — pomyślałem. Plama posuwała się szybko wdół, by na połowie zbocza zniknąć nam z oczu. "Oho, zaczyna się" — mruknął przewodnik. Plama ukazała się znowu by o kilkanaście metrów niżej zginąć ponownie w śnieżnej bieli jakby się w niej roztopiła. Powtarzało się to wielokrotnie, co kilka metrów, aż plama znalazła się na dość stromym zboczu wysokości ponad dwadzieścia metrów. Gruby zawahał się chwilę, co robić dalej, gdyż dla niego była to trudność nie do pokonania. Doszedł widocznie jednak do wniosku że innej drogi zejścia niema i całym pędem ruszył naprzód i z miejsca zapadł w śnieg. Ku naszemu przerażeniu zuważyliśmy, że w naszą stroną zaczyna się posuwać jakaś niekształtna kula najeżona kijkami i końcami nart, pozostawiając za sobą całe obłoki śnieżnego puchu. Kula potoczyła sę z wielką szybkością tuż koło nas i całym swym ciężarem uderzyła w pobliskie krze, aż trzask łamanych gałęzi rozległ się wokoło. Gdy znaleźliśmy się przy tej niekształtnej nieruchomej masie, rozległ się naraz głos: "Czy to już Słowacja?..." Odetchnęliśmy z ulgą i jak na komendę wybuchnęli huraganem śmiechu.



Król Jugosławji Piotr II oparł się decyzjom swego rządu, powziętym bez jego wiedzy i wywołał kryzys zżegnany obecnie częściowym uwzględnieniem jego życzeń. Król Piotr walczy osamotniony, w niezwykle trudnych warunkach z myślą aby przeszkodzić opanowaniu Jugosławji przez Rosję. Jego stanowisko jest dowodem że nawet jeden człowiek może zaważyć na biegu spraw, zdawałoby się przesądzonych, jeśli wykaże charakter i odwagę. Gdyby król Piotr miał inne otoczenie napewno rezultaty te byłyby jeszcze większe. Fotografia nasza przedstawia króla Piotra, młodą królowę Aleksandrę i jej matkę księżnę Aspazję grecką — czyniących przedświąteczne zakupy w Londynie.

SPECTATOR

Sprawy polskie w książkach angielskich

POLSKA W PRZYSZŁEJ FEDERACJI ŚWIATOWEJ

Ely Culbertson, bożyszcze bridżystów, jest synem amerykańskiego inżyniera, który położył wielkie zasługi dla rozwoju kaukaskiego przemysłu naftowego, i córki generała rosyjskiego. Jako młody chłopiec brał udział w rosyjskim ruchu rewolucyjnym, przez pewien czas siedział w więzieniu. W okresie pierwszej wojny światowej poświęcił się badaniom socjologicznym i politycznym, w szczególności zajmowało go zagadnienie siły w stosunkach ludzkich i międzynarodowych. Ponieważ majątek Culbertsona uległ konfiskacie po przewrocie sowieckim, po wyjeździe do Ameryki zaczął zarabiać na utrzymanie grą w bridża, którą oparł na systemie naukowym. Z czasem stał się twórcą systemu bridżowego (t. zw. "contract bridge").

Świat kart zawsze fascynował Culbertsona. Widzi w nim świat, gdzie panują żelazne prawa polityki siły, gdzie nagrody i kary wymierzane są natychmiast i nieodwołalnie. Talia kart odpowiada hierarchii świata ludzkiego — każda karta jest panem tej, która znajduje się na niższym stopniu, i sługą tej, która znajduje się na stopniu wyższym. W świecie kart mamy także odpowiedniki "mas" — długie kolory, które w końcu odnoszą zwycięstwo nad asami i królami.

Culbertsonowi zawsze bliższe były ideały Krapotkina, który przeciwstawiał się wszechwładzy państwa, i kwakrów, opierających przyszły ustrój na dobrowolnej współpracy zrzeszonych, niż Marx z jego wszechpożerającym molochem państwowym. Podobne stanowisko zajmuje Culbertson w dziedzinie stosunków międzynaodowych: przyszłość świata widzi w federacji — chciałoby się powiedzieć: "równych z równymi, wolnych z wolnymi", a nie w "leadership'ie wielkich państw, w podziałach na "sfery wpływów", we wskrzeszaniu nowego "świętego przymierza".

W książce swojej "Total Peace"* która stanowi rozwinięcie zasad wyłożonych uprzednio w "Summary of the World Federation Plan". Culbertson atakuje bezlitośnie Waltera Lippmanna za propagowane przez niego projekty oparcia przyszłej organizacji świata na sojuszu Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Rosji.

"Nie ma bardziej niebezpiecznego złudzenia — pisze Culbertson — niż naiwne przypuszczenie że trzy mocarstwa światowe... każde w posiadaniu potężnych sił zbrojnych, każde obawiające się i zazdrosne o inne, każde pod nieustannym wewnętrznym naciskiem przesuwających się uwarstwień, mogą długo pozostawać w błogiej zgodzie". Jest rzeczą ludzką, że w tej powojennej "trójce" każdy — Roosevelt, Churchill i Stalin — będzie się czuł uprawniony do odgrywania roli konia dyszlowego (trotter), nikt nie będzie chciał być koniem przypszężnym (side-kick). Jest rzeczą matematycznie pewną, że dwaj z trzech będą zawiedzeni. Jest także rzeczą matematycznie pewną, że przeważają szanse, iż ta powojenna trójka nie przetrwa jednego etapu". W gruncie rzeczy Lippmann opiera się na "tej samej zgubnej ideologii państw zwierzchniczych (protector states), jak sojusz mocarstw osi. Jaka jest różnica między lippmanowskim podziałem narodów a hitlerowską teorią rasy panów?" Jeśli opieramy się na zasadzie, że grupa silnych państw może narzucić swoje panowanie światu, nie tworząc "wyższego prawa, któremu powinny podlegać w jednakowym stopniu wszystkie narody" — analogia pomiędzy projektem Lippmanna a sojuszem państw osi narzuca się nieodwołalnie. "Jeśli przyjmiemy taką przesłankę, — wnioskuje z twardą logiką Culbertson — Stany Zjednoczone walczą po niewłaściwej stronie."

Cóż stanie się z Polską, z państwami naddunajskimi, z Bałkanami, w wypadku urzeczywistnienia koncepcji Lippmanna? — pyta Culbertson. Lippman zaleca ich neutralizację. "Mówiąc po prostu, mają one wejść w "sferę wpływów" Rosji. Lippmann przyznaje, że nie jest to łatwe wyjście, ale "odwrotnie niż Szwajcaria lub państwa skandynawskie, nie są one ani ideologicznie ani praktycznie wdrożone do prawdziwej neutralności." Innymi słowy, narody wschodnio europejskie nie są ani duże ani godne szacunku. Pan Lippmann dodaje, że jest to "jedyna forma bezpieczeństwa, jaką możemy im zaofiarować". Główną rzeczą jest zachowanie za wszelką cenę podstawowego (nucleus) sojuszu Wielkiej Trójki" — dodaje zjadliwie Culbertson.

Culbertson występuje, rzecz prosta, przeciw podziałowi Europy na dwie sfery wpływów: brytyjską i rosyjską, przeciwko przeobrażeniu Europy "w gigantyczną Persję czy Polskę, z Wielką Brytanią sprawującą władzę (controlling) nad jej zachodnią, i Rosją — nad jej wschodnią częścią". Zadaniem Stanów Zjednoczonych jest niedopuszczenie do ekspansji Wielkiej Brytanii czy Rosji poza ich granice, przeciwnie, Stany powinny dążyć wszelkimi siłami do przywrócenia uwolnionym państwom europejskim ich pełnej suwerenności.

W przeciwieństwie do Lippmanna, Culbertson pragnie stworzyć taką organizację światową, w której zachowana byłaby równość wszystkich państw, zabezpieczone interesy większych państw, zagwarantowane prawa państw małych. Do państw przodowniczych ("leading or initiating states") zalicza Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię, Francję, Niemcy, Polskę, Turcję, Rosję, Chiny i Japonię. Każde z nich musi stanąć na czele federacji regionalnej, więc Stany Zjednoczone na czele federacji panamerykańskiej (Stany Zjednoczone i wszystkie państwa Ameryki Południowej), Wielka Brytania — brytyjskiej (Zjednoczone Królestwo, Kanada, Australja, Nowa Zelandja i Afryka Południowa), Francja — łacińskiej (Francja, Włochy, Hiszpania, Belgia i Portugalia), Niemcy — niemieckiej (Niemcy i Austria), Polska — środkowoeuropejskiej (Polska, Litwa (po plebiscycie), Czechosłowacja, Rumunia, Węgry, Jugosławia, Bułgaria, Albania i Grecja), Turcja — bliskowschodniej (Turcja, Persja, Irak, Syria, Palestyna, Arabia, Afganistan i Egipt), Rosja — rosyjskiej (Związek sowiecki, Estonia i Łotwa (jako państwa autonomiczne), Besarabia i części "polskiej Ukrainy" (po plebiscycie), Chiny — chińskiej i Japonia — japońskiej. Federacje malajska i indyjska będą miały na razie zastrzeżoną autonomię. Pozostałe państwa nie wejdą do żadnego bloku.

Federacja rozporządzać będzie dwoma rodzajami sił zbrojnych: armiami narodowymi, które będą przysługiwały tylko państwom przodującym, oraz korpusem międzynarodowym, w którym będą reprezentowane tylko państwa mniejsze. Podział procentowy sił zbrojnych będzie wyglądał jak następuje: Stany Zjednoczone 20 procent, Wielka Brytania i Rosja po 15 procent, Chiny i Francja po 6 procent, Niemcy, Polska, Turcja i Indie po 3 procent, Malaje i Japonia po 2 procent. korpus międzynarodowy 22 procent.

W ten sposób siły zbrojne Polski liczyłyby 60,000 żołnierzy i 1,500 samolotów, 3,000 czołgów, 3 pancerniki lub lotniskowce.

---

*Total Peace. What makes wars and how to organize peace by **Ely Culbertson**, Londyn, Faber and Faber, 1944; Str. 274 i 2nl.

Tymczasowy rząd federacji światowej powinien uznać za rządy prawowite wszystkie rządy, przebywające na wygnaniu i wszystkie rządy, nie faszystowskie jakie powstały lub powstaną w pokonanych państwach osi.

Culbertson jest zdania, że w interesie Rosji nie będzie leżało komunizowanie Europy, musiałoby to bowiem wywołać nową wojnę z potężną koalicją pod wodzą Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. W sprawie żądań terytorialnych Rosji, Culbertson stoi na stanowisku, iż chociaż Estończycy i Łotysze są dzielnymi narodami, które dowiodły, że zasługują na niepodległość, ale względy strategiczne powodują, że nie ma siły ludzkiej, która mogłaby oderwać je od Rosji. Inaczej rzecz wygląda z Litwą. Litwa nie jest potrzebna Rosji do obrony Leningradu, a historycznie mocno jest związana z Polską. Suwerenna Litwa, połączona unią celną z Polską, mogłaby rozwiązać zagadnienie dostępu do morza dla Polski, Czechosłowacji i innych państw europejskich. Natomiast względy etnograficzne i strategiczne przemawiają za oddaniem Rosji części Polski z przeważającą ludnością białoruską i ukraińską Culbertson w ostrych słowach potępia politykę Polski wobec Ukraińców, twierdząc, że w czasach nowożytnych żaden naród nie był okrutniej (more cruelly) prześladowany, niż Ukraińcy. Nadto jest rzeczą jasną — dodaje Culbertson — że Ukraińcy polscy będą dążyli do zjednoczenia z Ukraińcami sowieckimi.

Z dziejów Polski czerpie Culbertson niejednokrotnie przykłady dla poparcia swoich wywodów. Wspomina unię polsko-litewską z r. 1385, zestawia system głosowania w Lidze Narodów z "liberum veto", przewiduje możliwość podziału Stanów Zjednoczonych pomiędzy zjednoczoną Europę, całkowicie uprzemysłowioną Rosję i częściowo uprzemysłowiony świat mongolski — na podobieństwo podziału Polski pomiędzy Rosję, Prusy i Austrję.

O SOJUSZU BRYTYJSKO-POLSKIM

Docent historii nowoczesnej w Oxfordzie, R. B. McCallum, ogłosił książkę o stosunkach angielsko-francuskich w okresie obecnej wojny*. Autor porusza ubocznie i inne zagadnienia, m. in. sojusz angielsko-polski z r. 1939 "Słynne oświadczenie" Chamberlaina z dn. 31 marca 1939 r., że jeśli Polska padnie ofiarą niesprowokowanej agresji, Wielka Brytania udzieli jej wszelkiej pomocy ("would lend Poland all the support in their power"), uważa za objaw "całkowitej rewolucji" w postawie angielskiej w stosunku do Europy środkowej. Traktat lokarneński nie zawierał gwarancji brytyjskiej dla zachodnich granic Polski; przeważna część opinii w Wielkiej Brytanii przeciwstawiała się tego rodzaju zobowiązaniom; rządy dominjalne zajmowały jeszcze bardziej izolacjonistyczne stanowisko: zachodnie granice Polski należały do tych postanowień Wersalu, które najczęściej atakowała publicystyka angielska; półfaszystowski regime pułkowników Piłsudskiego nie cieszył się sympatją w Wielkiej Brytanii. "Ale obecnie zagadnienie polegało nie na tym, czy ta lub inna linia graniczna jest sprawiedliwa, lecz czy jakakolwiek granica niezależnego państwa [...]t bezpieczna". Być może, — ciągnie dalej autor — Wielka Brytania [p]ostępowała w sposób niemądry, krótkowzroczny, nieprzytomny, nie stanąwszy mocniej na gruncie nienaruszalności granic wersalskich, być może, rację miał Prezydent Wilson kiedy domagał się by członkowie Ligi Narodów wzajemnie poręczyli sobie [gr]anice, ale ta wzajemna poręka wydała się "sztywna, ultraleglistyczna i niepraktyczna zarówno ostrożnemu realizmowi konserwatystów jak łatwemu idealizmowi radykałów". Że przy takich nastrojach, najazd na Polskę stał się dla Wielkiej Brytanii "casus belli", że poszło o sprawę tak niepopularną w kołach angielskich jak Gdańsk i Pomorze, świadczy najlepiej, do jakiego stopnia rząd hitlerowski przebrał miarę.

Opóźnienie w wypowiedzeniu wojny przez Wielką Brytanię przypisuje Mc Callum nadziejom na pośrednictwo Musoliniego, które odniosło skutek w r. 1938 — żywiono "upartą nadzieję, że w ostatniej chwili nastąpi cud". Względy techniczne i gierka Ribbentropa, który przyjął oddzielnie ambasadorów brytyjskiego i francuskiego, spowodowały z kolei opóźnienie wypowiedzenia wojny przez Francję; ale istnieją także podstawy do przypuszczenia, że Bonnet ociągał się do ostatniej chwili. Jak Makbet, [b]ył "inform of purpose (kaleki na duchu)" i trzeba mu było przemocą wcisnąć do ręki sztylet.

*England and France 1939-1945 by **R. B. McCallum,** Fellow of Pembroke College, Oxford, Londyn, Hamish Hamilton, 1944; str. 186.

W POPRZEDNIM 4(109) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Wezwanie do walki; Kazimierz Wierzyński: Na zajęcie Warszawy przez Rosjan; Władysław M. Besterman: Australijczyk z Saskiej Kępy; Felicja Lilpop Krancowa: Wystawa Topolskiego; Dr. Stefan Włoszczewski: Wkład Polonji (Dyskusja z pewnym uczonym amerykańskim); Cicely Hamilton: To any Pole; Iwan Franko: Fragment z "Mojżesza"; Opinje i zdarzenia.

DWA EPIZODY KOŚCIUSZKOWSKIE

Pradziadek autorki dziennika z czasów wiktoriańskich*, Joseph Hardcastle, zetknął się w roku 1814, w czasie swego pobytu we Francji, z przedstawicielem Londyńskiego Tow. Misyjnego na Paryż, Mr. Stone. Ten opowiedział mu następującą historię o Kościuszce, który, jak wiadomo, przebywał pod Paryżem w czasie marszu sprzymierzonych na stolicę Francji.

Kiedy pewien oddział, zgodnie z panującymi wówczas zwyczajami, zabrał się do rabunku pobliskiej wsi, Kościuszko, widocznie rozpoznawszy język, jakim mowiono, wezwał grabieżców do "wstrzymania się od postępku niegodnego żołnierzy i Polaków". Żołnierze, zdziwieni że człowiek o wyglądzie francuskiego farmera przemawia po polsku, i to w duchu tradycji wojskowej ich kraju, spytali go o nazwisko. Kościuszko odmówił odpowiedzi, grożąc że w razie niezaprzestania rabunku, zwróci się ze skargą do dowództwa naczelnego. "Jego ton, zachowanie się i śmiałość wzbudziły nie tylko zdziwienie żołnierzy, wzbudziły także szacunek, i zapytanie o nazwisko, początkowo zadane w sposób obrażający, teraz powtórzono z powagą i czcią. Tym razem usłyszeli odpowiedź: "Jestem waszym rodakiem, walczyłem i krwawiłem z wami; dowodziłem takimi a takimi pułkami — jestem Kościuszko". Na dźwięk tego słowa — tyle ukochanego, widząc przed sobą bohatera, co więcej, bożyszcze kraju — żołnierze padli na ziemię i unurzali głowy w błocie i śniegu na dowód, że niegodni są widoku tak znakomitego (illustrious) wodza."

Na prośbę swego przyjaciela i nauczyciela, de la Harpe'a, Aleksander I nakazał zaciągnięcie warty honorowej przed domem Kościuszki; była to "oznaka czci dla nieprzekupnego patrioty".

Mr. Stone opowiadał również, że na początku kampanii rosyjskiej ukazało się wezwanie do Polaków, pod-

*Victorian Diarist. Extracts from the Journal of Mary, Lady Monkswell 1873-1895. Edited by the Hon. E. C. Collier. Londyn, John Murray, 1944, str. 25 i 1nl. i 284 i tabl. 4.

pisane nazwiskiem Kościuszki. Było ono sfałszowane; Kościuszko zawsze odnosił się krytycznie do poczynań Napoleona i "niezmiennie odrzucał najbardziej kuszące propozycje wstąpienia do niego na służbę". W danym wypadku był bezsilny, gdy, rzecz prosta, żadne z pism nie ośmieliłoby się ogłosić zaprzeczenia.

Opisana przez Mr. Stone'a rozmowa Kościuszki z żołnierzami znana jest od dawna i stała się nawet tematem licznych utworów literackich, że wymienimy tylko operę Dutkiewicza "Kościuszko nad Sekwaną", operettę Holteia "Kościuszko, der alte Feldherr" wiersz Lagarde'a "Les obseques de Kościuszko" (przełożony na niemiecki przez Franza Kellera p. t. "Kosciuszko's Todtenfeyer"), ustęp Lenartowicza o Kościuszce w Szwajcarji itd. Tyle jedynie, że w niektórych wersjach bohaterami zdarzenia nie są żołnierze polscy, ale rosyjscy, po prostu oddział dońskich kozaków.

Nazwisko Kościuszki podpisał Fouche nie pod proklamacją wydaną na początku kampanii r. 1812, ale na początku kampanii r. 1806. Prowadził wtedy rokowania z Kościuszką w imieniu Napoleona, ale Kościuszko zażądał gwarancji i postawił warunki, pod jakimi gotów jest stanąć u boku Cesarza. Chciał odbudowy Polski w granicach przedrozbiorowych,, uwolnienia i uwłaszczenia chłopów, ustroju na wzór angielski. Napoleon miał na to odpowiedzieć: "A jakiż by mi odał warunki gdyby był mocarzem?"

OPINJE I ZDARZENIA

PROTEST PRZECIW SAMOZWAŃCOM LUBELSKIM

Naskutek przemianowania się "Komitetu Lubelskiego" na "rząd polski" — który będzie narzędziem najazdu sowieckiego, stowarzyszenia polskie (uchodźcze) w New Yorku odbyły zebranie protestacyjne i powzięły następujące uchwały:

"Obywatele Rzeczypospolitej Polskiej, przebywający w Stanach Zjednoczonych, solidaryzując się z nieustannie przez kraj wyrażaną powszechną wolą ludności Polski, stwierdzają:

1. że jedyną legalną władzą Państwa Polskiego jest Rząd Polski w Londynie, i że jedynie urzędujący w Londynie Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, reprezentuje suwerenność Narodu i Państwa Polskiego.

2. że samozwańcza grupa lubelska. złożona z agentów obcego mocarstwa opierając się o bagnety okupacyjnych wojsk sowieckich, dokonała zbrodniczego zamachu na podstawowe prawa Narodu Polskiego do samostanowienia, niepodległości i suwerenności, w celu oddania Polski w niewolę obcego imperjalizmu i totalistycznej dyktatury.

Świadomi tego, potępiamy jak najostrzej zamach uzurpatorów lubelskich na kardynalne prawa Narodu Polskiego i piętnujemy ich jako zdrajców sprawy polskiej."

Zrzeszenie Uchodźców Wojennych z Polski
Koło Pisarzy z Polski
Związek Oficerów Rezerwy
Związek Artyst. Sc. Polskiej (Z. A. S. P.)
oraz kilkuset obywateli polskich.

"Stojąc w obliczu wypadków, które zaważyć mogą na losach Narodu i Państwa Polskiego, oraz pomni naszych obowiązków wobec kraju ojczystego, my, prawnicy polscy, zrzeszeni na wygnaniu w Stowarzyszeniu Prawników Polskich w Stanach Zjednoczonych Am. P., na Nadzwyczajnem Walnem Zgromadzeniu odbytym w Nowym Yorku w dn. 19 stycznia 1945 roku, podnosimy głos wolny i nieskrępowany, uchwalając co następuje:

1. Trwamy w wierności obywatelskiej wobec konstytucyjnych Władz Naczelnych Rzeczypospolitej Polskiej mających tymczasową siedzibę w Londynie.

2. Stwierdzamy, że grupa lubelska, mieniąca się polskim rządem prowizorycznym, nie reprezentuje Państwa Polskiego i jego obywateli.

3. Uważamy, że przez stworzenie w oparciu o obce mocarstwo tak zwanego prowizorycznego rządu, grupa lubelska dokonała zamachu wystawiając na niebezpieczeństwo byt niepodległy Państwa Polskiego i prawo Narodu Polskiego do stanowienia o sobie."

"Sekcja Amerykańska Związku Dziennikarzy R. P. na zebraniu odbytym w New Yorku w dniu 18 stycznia 1945 r., powzięła rezolucję treści następującej:

1. Jedyną legalną władzą Państwa Polskiego jest działający obecnie w Londynie Rząd Polski;

2. Tak zwany "Tymczasowy Rząd w Lublinie, powołany przez obce mocarstwo niema ani prawnego ani faktcznego prawa do reprezentowania Państwa Polskiego."

"THE POLISH DIGEST"

Dochodzi nas z Włoch wydawnictwo kapitalne, którego brak jest jednym z największych zaniedbań naszej propagandy na terenach anglosaskich i które powinno być koniecznie i zaraz tutaj w Nowym Jorku naśladowane. Wydawnictwo to — znów pomysł i realizacja Działu Kultury i Propagandy Drugiego Korpusu — jest to tak nam niezbędne "digest" podające w przekładzie angielskim wybitniejsze głosy prasy polskiej o najważniejszych naszych sprawach. Pierwszy numer jest znakomity, żywy, rozmaity, ozdobiony bardzo zabawnemi rysunkami satyrycznemi, z którch jeden, karykatura Czermańskiego jest odbitką z "Tygodnika". Musimy się zresztą pochwalić, że na 18 pozycji — 4 są przedrukami z "Tygodnika". Ponieważ nasz P. I. C. ostatnio (po raz niewiadomo który) reorganizuje się — więc podajemy odrazu piękny przykład naszego Drugiego Korpusu do natychmiastowego naśladowania. Domagamy się "The Polish Digest" w Nowym Jorku.

ŚWIETNY ARTYKUŁ CHAMBERLINA

Prosimy aby każdy z naszych czytelników kupił zaraz parę egzemplarzy wydania lutowego "American Mercury", w którem znajduje się znakomity artykuł Williama Henry Chamberlina p. t. "Some truths about Poland", przedstawiający z kompetencją idealną i jasnością wzorową istotę sprawy polskiej. Jest w nim to wszystko co powinniśmy teraz mówi Amerykanom, poparte argumentami, szczególnie dla nich wymownemi. Drogi czytelniku! Nie leń się tylko kup te egzemplarze zaraz. Znajdziesz to co Ci jest niezbędnie potrzebne do skutecznej dyskusji i zamkniesz usta Twoim oponentom.

"OSSERVATORE POLACCO"

Jak podają korespondenci amerykańscy z Rzymu, urzędowy organ papieski "Osservatore Romano" tyle ostatnio miejsca poświęca sprawie polskiej, uważając jej sprawiedliwe rozwiązanie za kamień węgielny prawdziwego pokoju — iż pismo to przezwane jest teraz "Osservatore Polacco".

ODPOWIEDŹ BECKA HITLEROWI

"This Week" dodatek do "New York Herald Tribune" w numerze z dnia 28 stycznia podaje nieznany a jakoby autentyczny szczegół z ostatniej przed wybuchem wojny rozmowy ministra Józefa Becka z Hitlerem. Hitler, proponując zerwanie z Aljantami i przejście do obozu nazistowskiego — ofiarował Polsce Słowację. Beck wyraził wątpliwość,

czy Polska zdoła na dłuższą metę utrzymać ten podarunek.

— "Może pan być o to spokojny" — powiedział Hitler — "bo filozofja nazizmu przetrwa tysiące lat".

Minister Beck odpowiedział na to:

— "Tylko jedna filozofja, mianowicie filozofja chrześcijańska, przetrwała tysiąclecia. A oni nie proponowali nam Słowacji".

ZGON BOURDETA

Umarł w Paryżu Edward Bourdet, jeden z najlepszych komedjopisarzy francuskich, przed wojną administrator Komedji Francuskiej, a ostatnio kierownik działu teatrów w Ministerstwie Oświaty. Bourdet był autorem szeregu komedji obyczajowych o ostrym, gorzkim dowcipie, o niezwykle śmiałych nieraz ryzykownych tematach i przez to robiących nieraz wrażenia cynizmu, komedji zawsze zbudowanych doskonale, dających pole do popisu aktorom — i stanowiących też obok sztuk Bernsteina, Giraudoux, Acharda najbardziej oczekiwane wydarzenie każdego teatralnego sezonu. "Słaba płeć", "Niewolnica", "Ostatnia nowość", "Groszek pachnący", "Ciężkie czasy" — oto tytuły najbardziej udanych, najprzychylniej przyjętych przez publiczność komedji Bourdeta, z których niejedna parę lat utrzymywała sę na afiszu. Bourdet niewątpliwie stworzył własny styl komedjowy, jak mówiliśmy, napozór tylko cyniczny, w gruncie rzeczy zaś dający bardzo inteligentny i ostry obraz obyczajów; styl ten przypominał pisarzy XVIII wieku; w "Ciężkich czasach" zaś wyraźnie wzorował sęi na wielkim melodramacie mieszczańskim z połowy dziewiętnastego wieku. Jedną z ostatnich sztuk jego była komedja historyczna "Margot", wskazująca na nieznane a bardzo ciekawe możliwości tego bogatego talentu, zarówno co do formy jak myśli. Pisana w stylu zarazem szekspirowskich kronik dramatycznych i nowoczesnej rewji — szkicowo ale świetnie rysowała bardzo głębokie konflikty dramatyczne i charaktery pełne pasji i poezji. Mianowany na dwa lata przed wojną kierownikiem Komedji Francuskej Bourdet człowiek bardzo nerwowy, natura cieplarniana i zdawałoby się, aspołeczna, okazał nieoczekiwanie wielkie talenty kierownicze i rzadkie poczucie zarazem tradycji i nowości. Jego dziełem była prawdziwa rewolucja Komedji, która odświeżyła jej zespół i reżyserję, sprowadzając do niej takich inscenizatorów jak Jouvet, Baty, Dullin. W czasie wojny ten pisarz, tak bardzo niepatetyczny wykazał charakter i patrjotyzm, którego zabrakło wielu nacjonalistcznym krzykaczom. Jego śmierć jest wielką stratą dla francuskiego teatru.

CEREMONJA GRADUACJI POLSKIEGO KURSU SPOŁECZNEGO NA UNIWERSYTECIE FORDHAM



Absolwentki Polskiego Kursu Społecznego na Fordham University.

We czwartek wieczorem, dnia 18go stycznia, w Szkole Nauk Społecznych Uniwerstetu Fordham odbyła się w bardzo miłym nastroju graduacja studentek polskiego kursu społecznego. Dyplomy otrzymało trzynaście absolwentek.

W przemówieniu wstępnem O. Raymond Schouten, S. J. regent Szkoły Nauk Społecznych, pzedstawił absolwentki zebranym gościom. Poczym O. R. Gannon wygłosił przemówienie, zwracając szczególną uwagę na ważność sprawy Polski katolickiej dla całego chrześcijaństwa, a w szczególności dla ludów środkowo wschodniej Europy.

O. Gannon wręczył dyplomy ukończenia kursu następującym absolwentkom: siostrom: Marji Potaszniczak, Florencji Szalewskiej, Ligorji Piłat, Paniom i Pannom: Bogusławie Charaszkiewicz, Marji Dembińskiej, Kazimieze Ebłowskiej, Florencji Konowskiej, Anieli Mieczysławskiej, Danucie Pogorzelskiej, Irenie Pogorzelskiej, Tamarze Strzetelskiej, Marji Staples i Reginie Zaorskiej, która wygłosiła doskonałe, ubrane w piękną angielszczyznę, przemówienie.

Na zakończenie uroczystości Minister S. Strakacz podziękował Ojcu Gannon, Komitetowi Biskupów i Lidze Religijnej Pomocy Polsce. Absolwentkom zaś, przyszłym społecznym i lekarskim pracowniczkom, złożył życzenia jaknaszybszego ziszczenia się ich marzeń o pracy w wolnej Polsce.

ŚP. SEWERYN TUROSIENSKI

Dnia 22 grudnia 1944 zmarł nagle w Washingtonie na atak serca nasz nieodżałowany rodak i przyjaciel śp. Seweryn K. Turosieński, zajmujący wybitne stanowisko jako "specialist in comparative education" w amerykańskim departamencie oświaty.

Był to człowiek o wielkiej duszy, wrażliwym sercu, głębokim umyśle, rozległej wiedzy, szczerym patrjotyźmie polskim. Bardzo skromny z natury, niezwykle sumienny w pracy i zawsze uczynny, ceniony był wysoko przez wszystkich, co mieli z nim styczność.

Zmarły pochodził z Polski Wschodniej. Studjował filologję porównawczą oraz języki słowiańskie na uniwerstetach w Charkowie i w Krakowie. W czasie poprzedniej wojny pracował w Czerwonym Krzyżu. Po wojnie przybył wraz z żoną do Ameryki i po kilku latach uzyskał dzięki swym naukowym kwalifikacjom ważne stanowisko w U. S. Office of Education w Washingtonie. Władze amerykańskie wysłały go do badania systemów szkolnictwa w różnych krajach Europy. Owocem tych studjów był szereg oracowań dokonanych przez Zmarłego. Na szczególną naszą wdzięczność

zasłużył się śp. Seweryn Turosieński przez opracowanie doskonałej publikacji pt. "Poland's Institutions of Higher Education" wydanej w roku 1936 przez U. S. Office of Education. Jest to jedyna w swoim rodzaju książka wydana staraniem rządu amerykańskiego, poświęcona rozwojowi wyższych zakładów naukowych w Polsce i daje ona wspaniały obraz dokonań Narodu Polskiego na tym polu.

NIEPOKOJĄCE WIADOMOŚCI Z LITWY

Z krajów "uwalnianych" przez wojska sowieckie przychodzi bardzo mało wiadomości. Black-out jest kompletny. Pomimo to ci spośród nas, którzy znają Rosję i metody sowieckie, byli dotąd w stanie odtworzyć dość wiernie obraz tego, co dzieje się pod okupacją moskiewską.

Ostatnio jednak z Litwy zaczynają nadchodzić wiadomości, których nie mogą zrozumieć nawet najlepsi eksperci polityki sowieckiej. Już nie chodzi tu nawet o fakt, że z małą Litwą Moskwa robi sobie jeszcze mniej ceremonji, niż z Polską. Dawno było wiadome naprzykład, że na Litwie Sowiety nie póbują nawet opowiadać bajeczki o swobodzie wiary, nietykalności gruntów kościelnych etc., co jeszcze robią w Polsce. Na Litwie Sowiety wywożą i mordują księży od pierwszych miesięcy okupacji. Wiadomość o zastrzeleniu Biskupa Matulewicza niestety podobno potwierdza się.

To, co przychodzi obecnie — jest z innej dziedziny. Oto na Litwie bolszewicy rozpoczęli masową deportację wgłąb Rosji całych wsi i miasteczek. Nie jest to już wywożenie elementów wybranych, ani też nie są to karne ekspedycje przeciwko temu lub innemu osiedlu. Poprostu ziemia jest oczyszczana z mieszkańców: wieś po wsi miasteczko po miasteczku. Takie wiadomości nadeszły z pogranicza litewsko - łotewskiego. A równocześnie po cichych litewskich wioskach i zaściankach zaczynają pojawiać się nowi osiedleńcy: Kirgizi ze stepów nadkaspijskich, Uzbecy z Kazachstanu.

Co to wszystko znaczy?

Niektórzy powiadają, że to początek likwidacji Litwy. Jeżeli w jednym 1940 roku Sowiety potrafiły wywieźć z Polski dwa miljony ludzi — to dlaczego nie mogliby deportować trzech miljonów Litwinów? Nie byłoby przynajmniej problemu litewskiego na konferencji pokojowej.

Inni znowuż przypuszczają, że Sowiety powzięły makabryczny pomysł zbudowania pomiędzy sobą a Europą własnego "pasa sanitarnego", osiedlając na nim dzikich nomadów azjatyckich.

A może poprostu jest to jeszcze jeden bezmyślny wybryk manjaka — ot taki sobie przypadkowy wyczyn pijacki: "cztob trudnieje było ugadat"?

SPROSTOWANIE

W poprzednim (4-tym) numerze "Tygodnika Polskiego" w artykule Felicji Lilpop-Krancowej "Wystawa Topolskiego" na stronicy 10ej w pierwszej szpalcie po wierszu 36-tym iść powinno zdanie: "i jak naodwrót Toulouse-Lautrec w swoich kolorowych pastelach pozostaje przedewszystkiem rysownikiem." Zdanie to zostało zniekształcone przez opuszczenie jednego wiersza.